



# SZACH KRÓLOWI

*All the King's Horses*

Przełożyła Jolanta Kozak

Pułkownik Bryan Kelly, którego zwałista postać blokowała światło sączące się wąskim korytarzem, oparł się na moment o zaryglowane drzwi w poczuciu skrajnego napięcia i bezsilnej wściekłości. Filigranowy orientalny strażnik przerzucał klucze na kółku w poszukiwaniu tego właściwego. Pułkownik Kelly słuchał odbywającej się za drzwiami wymiany zdań.

– Sierzancie, przecież oni się nie odważą ruszyć Amerykanów, no nie? – Głos był młodzieńczy, niezbyt pewny siebie. – No bo przecież musieliby za to słono zapłacić, gdyby...

– Przymknij się. Chcesz, żeby dzieciaki Kelly'ego się pobudziły i zobaczyły, jak robisz w portki ze strachu? – Ten głos był zrzędlawy, znużony.

– Założę się, że nas szybko puszcza, no nie, sierzancie? – Młody głos nie dawał za wygraną.

– Jasne, synku, jasne, oni tu wprost przepadają za Amerykanami. Na pewno o tym chcieli sobie pogadać z Kellym, a teraz już szykują na drogę piwo i bułki z szynką. A wszystko tak długo trwa tylko dlatego, że nie wiedzą, ile bułek ma być z musztardą, a ile bez. Ty z musztardą czy bez?

– Ja tylko...

– Przymknij się.

– Okay, przecież ja tylko...

– Przymknij się.

– Ja się tylko chciałem dowiedzieć, co jest grane. Nic więcej.

Młody kapral rozkaszał się.

– Lepiej zbastuj i kopsnij szluga – odezwał się zniecierpliwiony trzeci głos. – Tam zostało dobre dziesięć sztachów. Nie pękaj, mały, mówię ci.

W odpowiedzi na to rozległy się pełne uznania pomruki innych.

Pułkownik Kelly nerwowo splatał i rozplatał dłonie, zastanawiając się, jak powie piętnastu siedzącym za drzwiami jednostkom ludzkim o przesłuchaniu u Pi Yinga i o czekającej ich niebawem koszmarnej próbie. Pi Ying oświadczył mu, że walka ze śmiercią, którą tutaj stoczą, nie będzie ani trochę inna – w sensie filozoficznym – od tego, co wszyscy, z wyjątkiem żony i dzieci Kelly'ego, znają już doskonale z frontu.

Analizując rzecz na zimno, miał rację: w sensie filozoficznym różnicy nie było. A jednak pułkownik Kelly był bardziej roztrzęsiony niż na froncie.

Pułkownik Kelly i piętnastka z tamtej strony drzwi dwa dni wcześniej lądowali przymusowo na kontynencie azjatyckim, zdmuchnięci z kursu przez gwałtowną burzę. W dodatku wysiadło im radio. Pułkownik Kelly wraz z rodziną udawał się do Indii, na placówkę attaché wojskowego. Oprócz nich na pokładzie samolotu transportowego znajdowała się grupa techników wojskowych – specjalistów wielce przydatnych na Środkowym Wschodzie. Samolot zetknął się z ziemią na terytorium opanowanym przez szefa komunistycznej guerilli, Pi Yinga.

Wszyscy wyszli cało z lądowania: i Kelly, i jego żona Margaret, i dziesięcioletni synowie bliźniacy Kelly'ego, i pilot, i drugi pilot, i dziesięciu żołnierzy. Kiedy wygramolili się z samolotu, dwunastu uzbrojonych obdartusów Pi Yinga już na nich czekało. Nie mogąc się porozumieć z porowaczami, Amerykanie szli za nimi cały dzień przez pola ryżowe i dżunglę, aż wreszcie o zachodzie słońca doszli do rozwalającego się pałacu. Tam bez słowa zamknięto ich w piwnicy.

Pułkownik Kelly wracał oto z przesłuchania u Pi Yinga, który go powiadomił, jaki los spotka szesnaścioro amerykańskich więźniów. Szesnaścioro – Kelly z niedowierzaniem kręcił głową na uporczywie dzwoniącą w uszach liczbę.

Strażnik dźgnął go pistoletem, żeby odstał na bok, po czym wsadził klucz w zamek i drzwi odskoczyły.

Papieros krążył z rąk do rąk. Rozjaśniał kolejno pełne nadziei twarze: rumiane oblicze młodego kaprała gaduły z Minneapolis, zapadnięte oczy i krzaczaste brwi pilota z Salt Lake, wąskie usta sierżanta.

Kelly przeniósł wzrok z żołnierzy na coś, co w półmroku przypominało nieduży kocyk usypany tuż przy drzwiach. Siedziała tam jego żona Margaret, tuląc do kolan jasne głowy synów. Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Twarz miała mgliście bladą.

– Kochanie, nic ci nie jest? – zapytała cicho.

– Nie, nic mi nie jest.

– Sierżancie – nie wytrzymał kapral. – Spytajcie się go, co mówił Pi Ying.

– Przymknij się. – Sierżant zrobił pauzę. – No, jak tam, pułkowniku, dobre nowiny czy złe?



Kelly głaskał żonę po ramieniu, próbując znaleźć właściwe słowa: słowa odwagi, której wcale w sobie nie czuł.

– Złe nowiny – powiedział. – Jak najgorsze.

– Dobra. Posłuchamy – odezwał się nienaturalnie głośno pilot transportowca. Kelly odniósł wrażenie, że pilot chce tubalnym głosem i szorstkością dodać sobie odwagi. – Nie może nam zrobić nic gorszego niż nas zabić. Czy o to właśnie chodzi? – Wstał i wbił ręce w kieszenie.

– Nie wazyłby się! – zawołał buńczucznie młody kapral, tak jakby mógł jednym pstryknięciem palców ściągnąć na Pi Yinga całą gniewną potęgę Armii Stanów Zjednoczonych.

Pułkownik Kelly zerknął na młodzieńca z rzewnym zaciekawieniem.

– Spójrzmy prawdzie w oczy. Ten kurdupel, który siedzi na górze, ma wszystkie atuty w garści. – Zreflektował się, bo użył określenia z całkiem innej gry. – To banita. Niczym nie ryzykuje, drażniąc Stany Zjednoczone.

– Jeżeli on ma zamiar nas pozabijać, to niechże nam pan to w końcu powie! – nie wytrzymał pilot. – Dobra: ma nas w saku. Co zamierza?

– Uważa nas za jeńców wojennych – odparł Kelly, starając się utrzymać zrównoważony ton. – Chętnie by nas powystrzelał. – Wzruszył ramionami. – Zwlekałem z odpowiedzią, bo szukałem właściwych słów, ale takich słów nie ma. Pi Ying chce się nami pobawić. Egzekucja to dla niego mało. Chce dowieść, że jest od nas bystrzejszy.

– W jaki sposób? – Oczy Margaret stały się wielkie z przerażenia. Obaj chłopcy zaczęli budzić się ze snu.

– Wkrótce Pi Ying zagra ze mną w szachy o wasze życie. – Kelly zacisnął dłoń na bezwładnym nadgarstku żony. – Także o życie naszej czwórki. To jedyna szansa, jaką nam daje Pi Ying. – Wzruszył ramionami, a przez jego twarz przeleciał demoniczny uśmiezek. – Gram powyżej średniej... nieco powyżej średniej.

– To wariat? – upewnił się sierżant.

– Sami się przekonacie – powiedział pułkownik Kelly. – Zobaczycie go, jak gra się zacznie: Pi Yinga we własnej osobie i jego kumpla, majora Barzowa. – Uniósł brwi. – Major wyraża głęboki żal, że jako obserwator wojskowy ze strony radzieckiej nie ma uprawnień do interweniowania w naszej sprawie. Składa wszystkim szczerze wyrazy współczucia. Podejrzewam, że i jedno, i drugie to łgarstwa. Pi Ying trzęsie przed nim portkami jak nie wiem co.

– A my będziemy patrzeć, jak wy gracie? – zapytał kapral zdumionym szeptem.

– Cała nasza szesnastka, kapralu, to figury szachowe, którymi będę grał.

Drzwi otworzyły się z rozmachem...



– Czy ogarniasz z dołu całą planszę, Biały Królu?! – zawołał wesoło Pi Ying z wysokiej galerii lazuruwo sklepionej komnaty. Uśmiechnął się do stojącego w dole pułkownika Bryana Kelly'ego, jego rodziny i żołnierzy. – Pan musi być Białym Królem, to chyba jasne. Inaczej moglibyśmy pana stracić przed końcem gry. – Oblicze szefa guerilli pałało rumieńcem emocji. Jego uśmiech był parodią szczerzej troski. – Cieszę się, że widzę państwa w komplecie.

Po prawicy Pi Yinga, ledwie widoczny w cieniu, stał major Barzow – wstrzemięzliwy radziecki obserwator wojskowy. Na spojrzenie Kelly'ego odpowiedział powolnym skinieniem głowy. Kelly wpatrywał się w niego uporczywie, aż arogancki, ostrzyżony na jeża major stracił kontenans i zaczął zaplatać i rozplatać ramiona, kołysząc się przy tym z pięt na palce i z palców na pięty obute w czarne oficerki.

– Naprawdę, chętnie bym wam pomógł – rzekł w końcu, ale jego ton nie był tonem skruchy, lecz pogardliwego dowcipu. – Niestety, jestem tu tylko obserwatorem, życzę szczęścia, pułkowniku. – Po tych słowach Barzow pokazał Kelly'emu plecy.

Po lewej ręce Pi Yinga siedziała kobieta o subtelnej wschodniej urodzie. Z twarzą kompletnie pozbawioną wyrazu wpatrywała się w ścianę ponad głowami Amery-

kanów. Zarówno ona, jak i Barzow asystowali przy wstępnej rozmowie pułkownika Kelly'ego z Pi Yिंगiem, w której ten drugi określił zasady wymyślonej przez siebie gry. Gdy Kelly błagał Pi Yinga, aby wykluczył z rozgrywki jego żonę i dzieci, odniósł wrażenie, że w oczach kobiety błysnęła iskierka litości. Ale teraz, patrząc na nieruchomą, strojną w bogate ozdoby dziewczynę obok Pi Yinga, doszedł do wniosku, że wtedy musiał się pomylić.

– Sala, w której się znajdujemy, to kaprys moich przodków – objaśnił sentencjonalnie Pi Ying. – Spełniała funkcję sali tronowej. Posadzka wyłożona jest kwadratowymi płytami, a tych płyt jest dokładnie sześćdziesiąt cztery, czyli szachownica, nie myślę się, prawda? Dawni lokatorzy pałacu grywali tu w szachy figurami rozmiarów człowieka: siedzieli sobie z przyjaciółmi na tej właśnie galerii, a słudzy na ich życzenie przedstawiali figury. – Przekręcił pierścień na palcu. – Pomysł był rewelacyjny, a jednak dopiero my odkryliśmy go na nowo i udoskonaliśmy. W dzisiejszej grze posłużymy się tylko czarnymi figurami dawnych szachów. To będą moje. – Odwrócił się do skonfundowanego majora Barzowa. – Drużyna amerykańska daje własne szachy. Genialny pomysł, przyzna pan, nieprawdaż?

Uśmiech zamarł mu jednak na ustach, kiedy przekonał się, że Barzow bynajmniej nie jest rozbawiony. Pi Ying najwyraźniej wyłaził ze skóry, żeby się przypodobać Rosjaninowi. Barzow natomiast traktował Pi Yinga z demonstracyjnym lekceważeniem.



Dwunastu amerykańskich żołnierzy stało pod ścianą w asyście uzbrojonych wartowników. Instynktownie zbili się w gromadkę i popatrywali spode łba na delektującego się swoją rolą pana sytuacji.

– Tylko spokój – ostrzegł ich pułkownik Kelly. – Bo stracimy jedyną szansę.

Zerknął ukradkiem na swoich bliźniaków, Jerry'ego i Paula, którzy ze stoickim zaciekawieniem rozglądali się po sali, nadal sennie mrugając oczami. Stali razem ze skamieniałą ze zgrozy matką. Kelly nie mógł zrozumieć, dlaczego tak mało czuje, widząc najbliższych stojących oko w oko ze śmiercią. Strach, który mu towarzyszył podczas godzin oczekiwania w ciemnicy, gdzieś się ulotnił. Kelly czuł tak dobrze mu znany z czasu wojny niesamowity spokój: wszystko w nim zamarło – wszystko prócz zimnej, precyzyjnej maszynerii mózgu. To był ten słynny generalski narkotyk. Sama esencja wojny.

– A teraz, drodzy przyjaciele, proszę was o uwagę – rzekł Pi Ying tonem ważniaka. Wstał. – Zasady gry. Łatwo je wam będzie zapamiętać. Macie się wszyscy zachowywać tak, jak wam każe pułkownik Kelly. Każdy, kto zostanie zбитy przez czarnego, poniesie śmierć szybko, bezboleśnie i na miejscu.

Major Barzow demonstracyjnie patrzył w sufit, jakby w głębi duszy krytykował wszystko, co mówi Pi Ying.

Nagle z kaprała trysnął gejzer przekleństw i sprośności, agresji pomieszanej z żalem nad sobą. Sierżant zatkał mu usta dłonią.

Pi Ying przechylił się przez balustradę i oskarżycielsko wycelował palec w szamoczącego się żołnierza.

– Dla tych, którzy będą uciekać z planszy albo podnosić wrzaski, można zorganizować specjalną formę umierania – oświadczył surowo. – Pułkownik Kelly i ja

musimy się koncentrować w absolutnej ciszy. Jeżeli pułkownik okaże się tak bystry, że wygra, wówczas wszyscy pozostali przy życiu w momencie, gdy ja dostanę szacha, zostaną bezpiecznie przetransportowani poza moje terytorium. Gdyby zaś pułkownik Kelly przegrał... – Pi Ying wzruszył ramionami. Zasiadł z powrotem na stercie poduszek. – Musicie wszyscy okazać solidarność i chęć współdziałania. Amerykanie z tego słyną, jak słyszałem. Pułkownik Kelly wie najlepiej, że niezmiernie rzadko udaje się wygrać w szachy – podobnie jak zwyciężyć w bitwie – bez ofiar. Nie myślę się, prawda, pułkowniku?

Pułkownik Kelly odruchowo skinął głową. Przypomniały mu się wcześniejsze słowa Pi Yinga – o tym, że gra, która niebawem miała się rozpocząć, w sensie filozoficznym niczym się nie różni od znanych mu doświadczeń wojennych.

– Jak można wciągać w to dzieci! – krzyknęła nagle Margaret. Wyrwała się strażom i przeciąwszy na ukos szachownicę, stanęła pod galerią, dokładnie na wprost Pi Yinga. – W imię Boga...

Pi Ying przerwał jej ze wściekłością.

– Czy to w imię Boga Amerykanie produkują bomby, czołgi i odrzutowce? – Niecierpliwym gestem oddalił Margaret. – Na miejsce z nią! – Zakrył oczy dłonią. – O czym to ja mówiłem? No tak, rozmawialiśmy o ofiarach, nieprawdaż? Właśnie chciałem pana zapytać, kogo pan wyznaczył na królewskiego piona. Jeżeli jeszcze nikogo, pułkowniku, to proponowałbym tego młodego krzykacza, którego trzyma sierżant. Pion królewski to delikatna pozycja.

Kapral zaczął wierzgać i wrywać się ze świeżą energią. Sierżant wzmocnił chwyt.

– Ten smarkacz zaraz się uspokoi – wysapał z trudem. Odwrócił głowę w stronę pułkownika Kelly'ego. – Bez względu na to, gdzie stoi cholerny pion królewski, miejsce to zajmę ja. Gdzie mam się ustawić, panie pułkowniku?

Młody kapral uspokoił się i sierżant wypuścił go z objęć.

Kelly wskazał sierżantowi czwarte pole w drugim szeregu szachownicy. Sierżant przeszedł na stanowisko i zwiesił z rezygnacją potężne ramiona. Kapral, z nieartykułowanym pomrukiem, zajął miejsce na polu sąsiadującym z polem sierżanta, jako drugi pion. Reszta nadal stała pod ścianą.

– Pułkowniku, proszę nam wskazać miejsce – odezwał się drżącym głosem chudy jak tyka porucznik. – My się nie znamy na szachach. Proszę nas rozstawić, jak pan uważa. – Grdyka chodziła mu nerwowo. – Najbezpieczniejsze pozycje muszą zająć pańskie dzieci i żona. Oni są najważniejsi. Proszę nami dysponować.

– Tutaj nie ma bezpiecznych pozycji – zauważył sardonicznie pilot. – Nie ma uprzywilejowanych. Wszystkie pola są jednakowe. – Wkroczył na planszę. – Kim będę, jak tu stanę?

– Gońcem, poruczniku – odparł Kelly. – Królewskim gońcem.



Ze zdumieniem stwierdził, że już myśli o poruczniku w kategoriach szachowych: porucznik przestał być człowiekiem, zamienił się w figurę szachową, która może przesuwać się po całej planszy na ukos, zdolna, jeżeli atakuje wraz z królową, poczynić wielkie spustoszenia wśród czarnych z przeciwnej strony szachownicy.

– No proszę: goniec. Kto by pomyślał, że dochrapię się posady królewskiego gońca! Hej tam, panie Pi Ying! – zawołał bezczelnie pilot w stronę galerii. – Ile jest warta wieża?

Pi Ying nie obraził się.

– Konia i piona, synku. Konia i piona.

Dzięki ci, Boże, za porucznika – westchnął w duchu Kelly. Jeden z amerykańskich żołnierzy odstąpił zęby w uśmiechu. Stali w zbitej gromadzie, przyklepiani plecami do ściany. Zaczęli się naradzać jak drużyna baseballowa przed meczem. Na znak Kelly’ego i według jego wskazówek zajęli pola szachownicy, jakby nieświadomi znaczenia tego, co czynią.

Pi Ying ponownie zabrał głos.

– Białe na miejsca, z wyjątkiem koni i królowej, pułkownika. Królem jest naturalnie pan. Proszę się spieszyć. Musimy zakończyć grę przed kolacją.

Troskliwie osłaniając żonę i synów długimi ramionami, Kelly doprowadził ich na właściwe pozycje. Nienawidził sam siebie za spokój, za chłodny dystans, z jakim to uczynił. Dostrzegł lęk i wymówkę w oczach Margaret. Nie potrafiła zrozumieć, że tak trzeba: że tylko jego opanowanie może im uratować życie. Odwrócił wzrok.

Pi Ying kłaśnięciem w dłonie zażądał ciszy.

– Wszystko gotowe. Zaczynamy! – Z namysłem pociągnął się za ucho. – Uważam, że to doskonała metoda konfrontacji wschodniego systemu myślenia z zachodnim. A pan jak sądzi, pułkowniku? Amerykańska żyłka hazardu w zetknięciu z naszym umiłowaniem dramaturgii i filozofii...

Major Barzow, wyraźnie zniecierpliwiony, szepnął mu coś do ucha.

– Ach, właśnie! – zreflektował się Pi Ying. – Muszę podać jeszcze dwie zasady gry: na każdy ruch przeznaczamy dziesięć minut. Nie wolno cofać ruchów, to chyba rozumiałe. A więc zaczynamy. – Wcisnął guzik stopera, który uprzednio położył na balustradzie. – Zaszczyt pierwszego ruchu przyznajemy białemu człowiekowi. – Uśmiechnął się szeroko. – Tak nakazuje tradycja.

– Sierzancie – wykrztusił przez ściśnięte gardło pułkownik Kelly. – Przesuńcie się o dwa pola do przodu. – Spojrzał na własne ręce. Zaczynały drżeć.

– A ja odstąpię od konwencji – powiedział Pi Ying i zrobił półobrót w stronę dziewczyny, jakby chciał się przekonać, że ona też dobrze się bawi. – Przesuń piona królowej o dwa pola do przodu – polecił służącemu.

Pułkownik Kelly ze zgrozą patrzył, jak służący przesuwając maszyną figurę na pozycję zagrażającą sierżantowi. Sierżant spojrzał na niego pytająco.

– Wszystko okay, pułkowniku? – Uśmiechnął się z niejakim trudem.

– Mam nadzieję, że tak – odparł Kelly. – Dam ci osłonę. Kapralu, wystąpcie o jedno pole do przodu – polecił młodemu nerwusowi.

Nic więcej nie mógł uczynić. Teraz Pi Yingowi nie opłacało się zbijać piona, któremu wcześniej groził, czyli sierżanta. Z punktu widzenia taktyki wymiana piona za pion nie miała sensu. Ruch był więc pozbawiony korzyści – w kategoriach szachowych, rzecz jasna.

– To kiepski interes, wiem, wiem – skomentował sytuację Pi Ying. Zrobił pauzę. – Z tak błyskotliwym przeciwnikiem trzeba bardziej uważać i nie ulegać łatwym

pokusom. – Major Barzow szepnął mu coś do ucha. – Z drugiej strony, wykorzystanie tego ruchu pozwoli nam się od razu wciągnąć w grę, nie sądzi pan?

– O czym on mówi, panie pułkowniku? – zaniepokoił się sierżant.

Zanim Kelly zdołał zebrać myśli, Pi Ying wydał rozkaz:

– Usunąć piona królewskiego z planszy!

– Pułkowniku! Co pan robi! – rozdarł się sierżant.

Dwaj strażnicy ściągnęli go z planszy i wywlekli z komnaty. Nabijane ćwiekami drzwi zamknęły się za nimi z głuchym hukiem.

– Mnie zabijcie! – krzyknął Kelly, rzucając się ku drzwiom.

Pół tuzina bagnetów zatrzymało go w miejscu.



Służący z beznamietnym obliczem przepchnął drewnianego piona Pi Yinga na pole, które przed chwilą zajmował sierżant. Zza grubych drzwi dobiegł odgłos strzału, po czym strażnicy wrócili do środka. Pi Ying już się nie uśmiechał.

– Pański ruch, pułkowniku. Szybciej, szybciej, stracił pan już cztery minuty.

Spokój Kelly'ego przysł gwałtownie, a wraz z nim iluzja gry. Pionki i figury stały się na powrót istotami ludzkimi. Pułkownik Kelly utracił bezcenną zdolność komen-derowania. Nie czuł się bardziej władny decydować o cudzym życiu i śmierci niż świeżo powołany rekrut. Ze zgrozą uprzytomnił sobie, że celem Pi Yinga wcale nie jest szybkie wygranie meczu, tylko wytrzebiecie z planszy Amerykanów za pomocą idiotycznych, bezsensownych posunięć. Upłynęły kolejne dwie długie minuty, zanim Kelly zmusił się do racjonalnego myślenia.

– Nie mogę – szepnął. Skulił się w sobie.

– Życzy pan sobie zatem, żebyśmy wszystkich rozstrzelali natychmiast? – spytał Pi Ying. – Muszę powiedzieć, że patrzę na pana z przykrością, pułkowniku. Czy wszyscy amerykańscy oficerowie tak łatwo się poddają?

– Utrzyj mu nosa, pułkowniku – odezwał się pilot. – Gramy dalej. Nie łam się, szefie. Gramy.

– Nic ci nie grozi – zwrócił się Kelly do kaprała. – Zbij tego piona.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie pan nie oszukuje? – rozżalił się młody kapral. – Teraz mnie zamordują!

– Rób, co ci każe! – syknął pilot.

– Nie!

Dwaj oprawcy, którzy przed chwilą zgładzili sierżanta, przygwoździli ramiona kaprała do jego boków. Wyczekująco spojrzeli w górę na Pi Yinga.

– Młody człowieku – zwrócił się do kaprała Pi Ying z troską w głosie. – Czy wolisz być torturowany na śmierć, czy też raczej zrobisz to, co ci każe pułkownik Kelly?

Kapral nagle okręcił się w miejscu jak fryga i cisnął obu strażników na ziemię. Przeszedł na pole zajęte przez piona, który wcześniej zbił sierżanta, jednym solidnym kopniakiem wyrzucił go, a sam stanął w aroganckim rozkroku.

Major Barzow ryknął śmiechem.

– Jeszcze się nauczy być pionkiem! – zawołał. – To jest wschodnia sztuka, której Amerykanie powinni się zacząć uczyć już dziś z myślą o przyszłości.



Pi Ying wtórował mu śmiechem i głaskał po kolanie dziewczynę, która z kamienią twarzą siedziała u jego boku.

– Na razie remis – powiedział. – Pion za pioną. Teraz przystąpimy do prawdziwej ofensywy. – Pstryknięciem palców obudził uwagę służącego. – Pion królewski jedno pole w lewo! – rozkazał. – Proszę bardzo! Moja królowa i goniec mogą teraz podjąć ekspedycję na terytorium białego człowieka. – Wcisnął guzik stopera. – Pański ruch, pułkowniku.



Wiedziony starym nawykiem, pułkownik obejrzał się na żonę w poszukiwaniu wsparcia i współczucia. Szybko jednak odwrócił wzrok: Margaret była uosobieniem lęku i rozpacz, a on mógł uczynić dla niej tylko jedno: wygrać. Nie odpowiedziała mu spojrzeniem. Jej oczy były puste jak oczy idioty. Uciekła w głuchy, ślepy, pozbawiony czucia szok.

Kelly policzył żywe figury na planszy. Od rozpoczęcia gry upłynęła godzina. Żył jeszcze pięć pionów, wśród nich młody kapral; jeden goniec – nieustraszonego pilota; dwa konie – dwóch złkniętych dziesięciolatek; Margaret – skamieniała ze zgrozy królowa; no i on sam – król. A czwórka, której już nie było? Poszła na śmierć, walcząc z drewnianym przeciwnikiem. Żołnierze, którzy pozostali, nie odzywali się już ani słowem: każdy trwał zamknięty w swoim własnym świecie.

– Mam wrażenie, że przyszedł czas, aby się pan poddał – powiedział Pi Ying. – Gra właściwie skończona. Czy poddaje się pan, pułkowniku?

Major Barzow chmurnym wzrokiem zlustrował szachownicę, z niechęcią pokręcił głową i ziewnął demonstracyjnie.

Pułkownik Kelly gorączkowo usiłował na nowo skupić myśli. Miał wrażenie, że przewierca się i przewierca bez końca przez kopiec gorącego piachu, że musi przeć do przodu, grzebać dalej, przeciskać się na oślep, nie mając czym oddychać.

– Idź do diabła – burknął.

Całą uwagę skupiał na ustawieniu szachów. Jako szachy, piekielna rozgrywka nie miała sensu. Pi Yingowi przyświecał tylko jeden cel strategiczny: zniszczyć białych ludzi. Kelly każdego bronił wszelkimi środkami i żadnym nie ryzykował ataku. Jego potężna królowa, konie i wieże stały dotąd nieużywane w strefie stosunkowo bezpieczniejszej: w dwóch ostatnich rzędach. Pułkownik zaciskał i rozwierał pięści w bezsilnej wściekłości. Chaotyczne szranki wroga stały przed nim otworem. Gdyby nie sterczący w samym środku szachownicy czarny koń, Kelly mógłby dać szach-mat królowi Pi Yinga.

– Pański ruch, pułkowniku. Dwie minuty – ponaglał Pi Ying.

I nagle Kelly dostrzegł zagrożenie: wystarczyło, żeby Pi Ying pchnął swoją królową o trzy pola w lewo po przekątnej, a wtedy on – Biały Król – znalazłby się w szachu. A potem już tylko jeden ruch nieuchronny, nie do obrony – szach-mat i koniec. Kelly był absolutnie pewien, że Pi Ying ruszy królową. Widać było, że gra straciła dla niego całą pikanterię: jego mina wyraźnie świadczyła o tym, że z chęcią zająłby się już czymś innym.

Szef guerilli wstał i przechylił się przez balustradę. Stojący za nim major Barzow wpasowywał cygaretkę w rzeźbioną fiolkę z kości słoniowej.

– Gra w szachy ma jeden przygnębiający aspekt – odezwał się, z zadowoleniem i podziwem obracając firkę w palcach. – Ten mianowicie, że szczęście nie gra w niej roli. Pokonany nie ma żadnej wymówki. – Z pedanterią deklamował słowa, jak dumny nauczyciel, który wyklada uczniom wzniosłe prawdy, z góry wiedząc, że i tak ich nie zrozumieją.

Pi Ying wzruszył ramionami.

– Wygrana w tej grze jest dla mnie mizerną satysfakcją. Zawiodłem się na pułkownika Kellym. Nie podejmując ryzyka, pozbawił tę grę właściwej jej subtelności i przebiegłości. Spodziewam się, że nawet mój kucharz okazałby więcej sprytu.

Policzki i uszy Kelly'ego zapłonęły czerwonym żarem gniewu. Mięśnie jego brzucha zacisnęły się w węzły. Nogi zamarły w rozkroku. Pi Ying nie może ruszyć królowej. Jeżeli Pi Ying ruszy królową, Kelly przegra; za to jeżeli Pi Ying usunie konia z linii ataku Kelly'ego – Kelly wygra. Tylko jedna rzecz mogła skłonić Pi Yinga do przesunięcia konia: okazja do sadystycznej akcji.

– Poddaj się, pułkowniku. Mój czas jest cenny – powiedział Pi Ying.

– To już koniec? – spytał zaczepnie młody kapral, w każdej chwili skory do awantury.

– Zamknij się i stój w miejscu – warknął Kelly. Zwężonymi w szparki oczami wpatrywał się w czarnego konia stojącego pośród żywych szachów. Koń miał wyrzeźbioną w łuk szyję i rozdęte chrapy.

Kelly'ego poraziła prosta geometria losu białych. Podziałała jak ożywczy, chłodny wiatr. Należało złożyć ofiarę koniowi Pi Yinga. Jeżeli Pi Ying przyjmie ofiarę, gra należeć będzie do Kelly'ego. Pułapka była doskonała i śmiertelna – poza jednym szczegółem: przynęta.

– Jeszcze minuta, pułkowniku – oznajmił Pi Ying.

Pułkownik popatrzył po twarzach swoich ludzi, ignorując malujące się na nich wrogość, nieufność i lęk. Kolejno eliminował kandydatów na śmierć. Ci czterej byli potrzebni do przeprowadzenia naglej, druzgoczącej ofensywy, a ci do pilnowania króla. Potrzeba chwili – jak dziecko wyliczające na podwórku entliczek, pentliczek – wskazała jedyną postać, którą można było poświęcić. Wyboru nie było.

Kelly zmusił się do myślenia o tej postaci wyłącznie w kategoriach prostego równania matematycznego: jeżeli x zginie, reszta przeżyje. Dramat decyzji docierał do niego tylko jako do człowieka znającego definicję dramatu, ale nie jako do człowieka odczuwającego dramat.

– Dwadzieścia sekund! – Barzow przejął stoper od Pi Yinga.

Zimna determinacja na moment opuściła Kelly'ego, który nagle dostrzegł odwieczny patos położenia, w jakim się znalazł – dylemat stary jak świat, stary jak walka między Wschodem a Zachodem. W razie ataku x, pomnożony przez setki albo tysiące, musi zginąć, wysłany na śmierć przez tych, którzy najbardziej go kochają. Kelly zawodowo trudnił się wybieraniem x-ów.

– Dziesięć sekund – oznajmił Barzow.

– Jerry! – powiedział Kelly, donośnie i z wielką pewnością siebie. – Przesuń się o jedno pole do przodu i dwa w lewo.

Chłopiec ufnie wystąpił z tylnego szeregu i ustawił się w cieniu czarnego konia. Po oczach Margaret widać było, że czujność jej wraca. Na głos męża odwróciła głowę.

Pi Ying gapił się na szachownicę jak sroka w gnatach.

– Czy pan ma dobrze w głowie, pułkowniku? – zapytał wreszcie. – Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co przed chwilą zrobił?

Nikły uśmiešek przeleciał przez twarz Barzowa. Rosjanin nachylił się, jakby chciał coś szepnąć Pi Yingowi, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Oparł się o kolumnę, skąd przez zasłonę tytoniowego dymu obserwował każdy gest pułkownika.

Kelly udął zaskoczenie. Po chwili schował twarz w dłoniach i jęknął boleśnie:

– O Boże! Nie!

– Wyjątkowy błąd, nie ma co – stwierdził Pi Ying. Z przejęciem wyjaśnił znaczenie posunięcia Kelly’ego siedzącej obok dziewczyny. Dziewczyna odwróciła się od niego manifestacyjnie. Pi Ying nie krył wściekłości na jej reakcję.

– Pan musi mi pozwolić cofnąć ten ruch – błagał zrozpaczony Kelly.

Pi Ying zabębnił knykciami palców o balustradę.

– Gra bez reguł, drogi przyjacielu, traci sens. Ustaliliśmy, że nie cofamy ruchów, i tego będziemy się trzymać. – Skinął na służącego. – Czarny koń bije białego.

Służący przesunął figurę konia na pole, gdzie stał Jerry. Przynęta chwyciła. Od tej chwili gra należała do pułkownika Kelly’ego.

– Co on robi? – wykrztusiła Margaret.

– Pułkowniku, po co trzymać żonę w niepewności? – odezwał się Pi Ying. – Niechże pan będzie dobrym mężem i odpowie małżonce na pytanie. A może ja mam to zrobić?

– Mąż pani poświęcił konia – wyjaśnił Barzow, przekrzykując Pi Yinga. – Właśnie straciła pani syna. – Miał przy tym minę naukowca przeprowadzającego eksperyment: napiętą, pełną wyczekiwania, nawiedzoną.

Kelly usłyszał zdławiony krzyk Margaret. Pochwycił ją, zanim osunęła się na podłogę.

– Kochanie, proszę, wysłuchaj mnie! – powiedział, rozcierając jej nadgarstki.

Trząśł nią bardziej brutalnie, niż zamierzał. Reakcja Margaret była wybuchowa. Z jej ust trysnęła kaskada słów – histeryczny bełkot potępienia dla męża. Kelly trzymał ją mocno za przeguby rąk i w osłupieniu słuchał nieskładnego steku wyzwisk.



Pi Yingowi oczy wylazły na wierzch. Zauroczony rozgrywającym się na dole fantastycznym spektaklem, nie zważał na rozpaczliwe gesty siedzącej obok dziewczyny, która szarpała go za rękaw i głośno błagała. Odepchnął ją, nie odrywając wzroku od sceny w dole. Wysoki oficer techniczny rzucił się na najbliższego strażnika, bodąc go ramieniem w pierś i pakując mu pięść w brzuch. Żołnierze Pi Yinga interweniowali natychmiast: przygwoździli napastnika do podłogi i zaciągnęli z powrotem na właściwe pole.

Korzystając z zamieszania, Jerry z płaczem rzucił się przerażony do ojca i matki. Kelly puścił ręce Margaret, która padła na kolana, tuląc rozslochane dziecko. Paul, brat bliźniak Jerry’ego, stał na swojej pozycji, trząśł się na całym ciele i uporczywie patrzył pod nogi.

– Gramy dalej, pułkowniku? – Głos Pi Yinga zabrzmiał dziwnie piskliwie.

Barzow odwrócił się od szachownicy: wyglądało na to, że nie chce oglądać dalszej akcji, ale w istocie tylko nie chciał ingerować w jej przebieg.

Kelly zamknął oczy, czekając, aż Pi Ying wyda rozkaz oprawcom. Nie miał odwagi spojrzeć na Margaret i Jerry'ego. Pi Ying gestem ręki nakazał wszystkim ciszę.

– Z głębokim żalem... – zaczął. Nagle jego usta się zamknęły. Z twarzy znikła groźna mina, a został tylko wyraz najwyższego zdumienia i osłupienia. Kurdupel opadł na balustradę i ześlizgnął się po jej zewnętrznej stronie, po czym z hukiem runął w dół między swoich żołnierzy.

Major Barzow mocował się z Chinką. W drobnej dłoni, której nie mógł pochwycić, tkwił cienki sztylet. Dziewczyna wbiła go sobie w pierś i padła na miejscu, waląc się na majora. Barzow nie podtrzymał ciała. Jak pijany zatoczył się na balustradę.

– Trzymać jeńców na miejscach! – ryknął do strażników. – Ten tam... żyje? – W jego głosie nie czuło się złości ani tym bardziej żalu: jedynie irytację z powodu nieprzewidzianych kłopotów. Jeden ze służących spojrział w górę i pokręcił głową.

Barzow polecił sługom i żołnierzom wynieść ciała Pi Yinga i dziewczyny. Był to zabieg skrupulatnego ochmistrza, a nie żałobnika. Nikt nie kwestionował autorytetu majora.

– Więc to jednak będzie pański benefis – zauważył Kelly.

– Narody Azji utraciły wybitnego przywódcę – rzekł z namaszczeniem Barzow. Obdarzył Kelly'ego dziwnym uśmiechem. – Chociaż i on nie był bez wad, prawda, pułkowniku? – Wzruszył ramionami. – Pan jednak wygrał tylko ruch, nie partię, a teraz mnie ma pan za przeciwnika w miejsce Pi Yinga. Proszę nie ruszać się z miejsc, pułkowniku, zaraz wracam.

Zdusił papierosa o rzeźbioną balustradę, starannie ukrył fifikę w kieszeni i wyszedł, rozchylając kotarę.

– Czy Jerry'emu już nic nie grozi? – szepnęła Margaret. Było to bardziej błaganie niż pytanie, tak jakby wyrok zależał od łaskawości Kelly'ego.

– Jeden Barzow wie – odparł Kelly.

Z całego serca pragnął wyjaśnić jej motywy, wytłumaczyć, dlaczego nie miał wyboru. Wiedział jednak, że wszelkie wyjaśnienia spotęgują tylko okrucieństwo intrygi w oczach Margaret. Śmierć przez pomyłkę mogła jeszcze jakoś zrozumieć, ale śmierć jako wynik zimnej kalkulacji, jako wniosek logiczny... nie, tego nigdy nie umiałaby zaakceptować. Wolałaby raczej, żeby zginęli wszyscy czworo.

– Jeden Barzow wie – powtórzył ze znużeniem. Ustalenia nie uległy zmianie. Cena zwycięstwa pozostała ta sama. Barzow najwyraźniej jeszcze się nie zorientował, co Kelly kupuje za życie syna.

– Skąd wiemy, że ten Rosjanin nas puści, jak wygramy? – zapytał oficer techniczny.

– Tego nie wiemy – odparł Kelly. Jednocześnie zaczęła go dręczyć następna wątpliwość: kto wie, czy nie wygrał tylko krótkiego odroczenia...

Stracił rachubę czasu. Nie miał pojęcia, jak długo czekają na powrót Barzowa, ustawieni na szachownicy. Nerwy mu stępiały od ciągłych wyrzutów sumienia i nieustannej presji straszliwej odpowiedzialności. W świadomości Kelly'ego panował półmrok.

Margaret zasnęła z wycieńczenia, tuląc w ramionach Jerry'ego, na którym wciąż wisiał wyrok. Paul skulił się jak zwierzątko na swoim polu, przykryty bluzą młodego kaprala. Na polu, które przedtem zajmował Jerry, stał teraz czarny koń Pi Yinga, z wygiętą w łuk szyją i rozdętymi chrapami, z których, zdawało się, lada chwila buchną ogień i dym.



Kelly jak przez mgłę usłyszał dobiegający z galerii głos – z początku zdawało mu się, że to jeszcze jeden fragment koszmarnego snu. Nie rozumiał sensu słów: doleciał do niego jedynie dźwięk. Ale otworzył oczy i wtedy ujrzał majora Barzowa, który poruszał ustami. Dostrzegł zuchwałe wyzwanie w jego oczach i usłyszał, co Rosjanin mówi.

– Skoro w tej grze przelano już tyle krwi, szkoda byłoby pozostawić ją nierozegraną.

Barzow rozsiadł się jak król na poduszkach Pi Yinga, krzyżując nogi w czarnych butach z cholewami.

– Zamierzam z panem wygrać, pułkowniku, i zdziwię się niezmiernie, jeżeli sprawi mi pan kłopot. Przykro byłoby przegrać przez grubymi nićmi szyte sztuczki w rodzaju tej, na którą nabrał pan Pi Yinga. Teraz już nie pójdzie panu tak łatwo. Teraz gra pan ze mną, pułkowniku. Na chwilę przejął pan inicjatywę, a teraz ja ją panu odbieram, razem z całą dalszą grą, bez zwłoki.

Kelly wstał. Zwalistą posturą górował nad białymi pionkami i figurami rozstawionymi po okolicznych polach. Major Barzow nie gardził tym gatunkiem rozrywki, który tak radował Pi Yinga. Kelly wyczuł jednak różnicę między postawą majora a postawą przywódcy partyzantów. Rosjanin zdecydował się na podjęcie gry nie dlatego, że był jej entuzjastą, lecz wyłącznie dla udowodnienia, że Kelly to osioł, a wszyscy Amerykanie to śmiecie. Najwyraźniej nie zauważył, że Pi Ying już przegrał partię. Chyba że to pułkownik pomylił się w ocenie sytuacji.

Kelly przesuwając w wyobraźni wszystkie szachy na planszy, szukając błędu w swoich planach – jeśli takowy istniał – i odpowiedzi na pytanie, czy jego piekielna, rozpaczliwa ofiara zdała się na coś, czy nie. W zwykłej grze, w której używa się klocków z drewna, wezwalby przeciwnika do poddania się i w ten sposób zakończyłby mecz. Teraz jednak, grając figurami z krwi i kości, czuł bolesne, uporczywe zwątpienie w niepodważalną logikę posunięć. Nie ośmielił się powiedzieć głośno, że zamierza atakować i wygrać w trzech ruchach; musiał te ruchy wpierw wykonać, musiał dać Barzowowi wszelkie szanse na odkrycie błędu – jeżeli błąd popełnił.

– A co z Jerrym?! – krzyknęła Margaret.

– Z Jerrym? A, to ten mały. No właśnie, pułkowniku: co z Jerrym? – spytał Barzow. – Jeżeli pan sobie życzy, zrobimy wyjątek. Chce pan cofnąć ostatni ruch? – Przemawiał jak salonowiec, był karykaturą jowialnego gospodarza.

– Gra bez reguł, majorze, traci sens – odparł beznamyślnym tonem pułkownik Kelly. – Byłbym ostatnią osobą skłoną prosić pana o złamanie zasad.

Rosjanin przybrał minę bolesnego współczucia.

– *Madame*, decyzję podjął pani mążzonek, nie ja. – Wcisnął guzik stopera. – Może pani zatrzymać chłopca przy sobie do czasu, aż pan pułkownik lekką ręką pozbędzie się was wszystkich. Pański ruch, pułkowniku, dziesięć minut.

– Zbij tego piona – polecił Kelly żonie. Margaret ani drgnęła. – Margaret! Słyszysz mnie?!

– Pomóż jej pan, pułkowniku, pomóż jej pan – jęczał Barzow.

Kelly ujął Margaret za łokieć i poprowadził na pole, gdzie stał czarny pion. Nie stawiała oporu. Jerry dreptał między matką a ojcem. Kelly wrócił na swoje pole, wbił ręce w kieszenie i cierpliwie patrzył, jak służący usuwa czarnego piona z planszy.

– Szach, majorze. Pański król jest w szachu.

Barzow uniósł brew.

– Co pan mówi? Szach? A to ci kłopot. I jak ja teraz naprowadzę pana na inne ciekawe aspekty sytuacji? – Dał znak służącemu. – Przesunąć mojego króla o jedno pole w lewo.

– Poruczniku, przesunąć się o jedno pole na ukos w moją stronę – polecił Kelly pilotowi. Pilot zawahał się. – Wykonajcie ruch!

– Tak jest. – Zostało to powiedziane z nieukrywaną drwiną. – Wycofujemy się na z góry upatrzone pozycje, co, pułkowniku? – Powoli, nonszalancko pilot przeszedł na wskazane pole.

– Szach po raz drugi, majorze – oznajmił niewzruszony Kelly. Dał znak porucznikowi. – Mój goniec trzyma pańskiego króla w szachu.

Przymknął powieki, wmawiając sobie, że na pewno nie popełnił błędu, że dzięki ofierze z syna wygrał partię, że Barzow nie ma wyjścia. Wykonał właśnie ostatni z trzech planowanych manewrów.

– Naprawdę? – zdziwił się teatralnie Rosjanin. – Nie potrafi pan lepiej? W takim razie ja stawiam królową przed królem. – Służący posłusznie przesunął figurę. – I co pan na to?

– Bierz królową – rozkazał Kelly najbliższemu stojącemu pionowi, a był to przerażony oficer techniczny.

Barzow skoczył na równe nogi.

– Zaraz, zaraz!

– Nie zauważył pan? Chciałby pan cofnąć ruch? – zadrwił Kelly.



Barzow, dysząc ciężko, chodził po galerii tam i z powrotem.

– Oczywiście, że zauważyłem!

– Było to jedyne posunięcie, którym mógł pan ratować króla – powiedział Kelly. – Może pan, jeśli pan chce, cofnąć ten ruch, ale i tak przekona się pan, że innego nie było.

– Zabieraj pan tę królową i gramy dalej! – wrzasnął Barzow. – Bierz ją pan sobie!

– Bierz ją – powtórzył jak echo Kelly, na co służący wyniósł figurę poza linię planszy. Oficer techniczny, jakby z niedowierzaniem, szybko mrugając oczami, gapił się na czarnego króla, który stał w odległości kilkunastu centymetrów od niego. Pułkownik Kelly, tym razem całkiem cicho, powiedział:

– Szach.

Barzow dał upust swej irytacji.

– No rzeczywiście, szach. Ale to nie pańska zasługa, pułkowniku Kelly – stopniowo podnosił głos – tylko bezdennej głupoty Pi Yinga.

– Gra skończona, majorze.

Oficer techniczny zaczął się śmiać jak idiota, kapral siadł z wrażenia, porucznik rzucił się Kelly’emu na szyję. Bliźniaki wrzasnęły „hip-hip-hura!”. Tylko Margaret stała jak słup, oniemiała, przerażona.

– Nie zapłacił pan jeszcze ceny zwycięstwa – zauważył kwaśno Barzow. – Mniemam, że jest pan gotów uczynić to teraz.

Kelly pobladł.

– Taka była umowa. Proszę ją egzekwować, jeżeli to sprawi panu satysfakcję.

Barzow umieścił kolejnego papierosa w kościanej fifice, co zajęło mu całą długą minutę. Kiedy znów przemówił, przybrał ton pedanta i szafarza mądrości:

– Nie, ja nie wezmę tego chłopca. Mam do was taki sam stosunek jak Pi Ying: jako Amerykanie jesteście dla mnie wrogami bez względu na to, czy oficjalnie ogłoszono stan wojny, czy nie. Uważam was za jeńców wojennych. Niemniej jednak, ponieważ oficjalnie nie jesteśmy w stanie wojny, nie mam – jako przedstawiciel swojego rządu – wyboru, muszę dopilnować, abyście zostali bezpiecznie przetransportowani poza linię frontu. Taki był mój plan od chwili, kiedy podjąłem grę w punkcie, w którym Pi Ying ją opuścił. Wasza wolność nie ma nic wspólnego z moimi osobistymi poglądami ani z wynikiem rozgrywki. Gdybym to ja odniósł zwycięstwo, cieszyłbym się, a wy otrzymalibyście cenną naukę. Nie miałoby to jednak najmniejszego wpływu na wasze losy.

Zapałił papierosa, nie spuszczając surowego wzroku ze słuchaczy.

– To bardzo szlachetnie z pana strony, majorze – odezwał się Kelly.

– Kwestia praktyki politycznej, nic innego, zapewniam pana. Chwilowo nie zależy nam na sprowokowaniu incydentu zbrojnego. Dla nas, Rosjan, rycerskość wobec Amerykanina jest pojęciem niedorzecznym, pojęciem wewnątrznie sprzecznym. Długa i gorzka historia nauczyła nas, i to dobrze, rezerwowania całej rycerskości dla Rosjan. – Na twarzy Barzowa odmalowała się druzgocząca pogarda. – Może chciałby pan zagrać jeszcze raz, pułkowniku, tym razem zwykłymi szachami, drewnianymi, bez sztuczek Pi Yinga? Nie podoba mi się, że wyjedzie pan stąd, myśląc, że lepiej ode mnie gra w szachy.

– Dziękuję, ale może już nie dzisiaj.

– Wobec tego innym razem. – Barzow dał strażnikom znak, aby otworzyli drzwi sali tronowej. – Innym razem – powtórzył. – Znajdą się następcy Pi Yinga skorzy do tego, żeby pana ograć w żywe szachy, i mam tylko nadzieję, że znów będę miał zaszczyt obserwować rozgrywkę. – Uśmiechnął się szeroko. – Kiedy i gdzie życzyłby pan sobie mnie spotkać?

– Niestety, czas i miejsce spotkania zależą wyłącznie od pana, majorze – odrzekł znużonym głosem pułkownik Kelly. – Jeżeli koniecznie będzie pan chciał zaaranżować następną grę, proszę mi przysłać zaproszenie. Na pewno skorzystam.



# DIPIS

*D.P.*

Przełożył Andrzej Szulc

Osiemdziesiąt jeden iskerek ludzkiego życia tliło się w sierocińcu założonym przez katolickie zakonnice w dawnym domku myśliwskim na terenie dużej posiadłości nad Renem, nieopodal niemieckiej wsi Karlsruwald, w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Gdyby tych dzieci nie przygarnięto, nie dano im dachu nad głową, jedzenia i ubrań, które udało się wyżebrać, zabłąkałyby się na skraj świata w poszukiwaniu rodziców, którzy dawno temu przestali ich szukać.

W każde pogodne popołudnie zakonnice prowadziły dzieci parami przez las, do wioski i z powrotem, żeby zaczerpnęły świeżego powietrza. Wiejski cieśla, starszy mężczyzna, który lubił czasem odłożyć narzędzia i zrobić sobie przerwę, wychodził wtedy zawsze z warsztatu, by przyjrzeć się roztrajkotanej wesołej paradzie obdartusów i zastanawiać się wraz z kilkoma miejscowymi obibokami, jakiej narodowości byli rodzice mijających ich dzieci.

– To ani chybi mała Francuzeczka – powiedział któregoś popołudnia. – Patrzcie, jaki ma błysk w oku!

– Widzisz, jak ten mały Polak wymachuje ramionami? Polacy uwielbiają maszerować – stwierdził młody mechanik.

– Polak? Gdzie ty tu widzisz Polaka? – zdziwił się cieśla.

– Ten chudy, poważny, na samym przedzie – odparł mechanik.

– Nieee. Za wysoki na Polaka – mruknął cieśla. – I jaki Polak ma lniane włosy? To Niemiec.

Mechanik wzruszył ramionami.

– Teraz wszyscy to i tak Niemcy, więc co za różnica? – powiedział. – Kto udowodni, kim byli ich rodzice? Gdybyś walczył w Polsce, wiedziałbyś, że to dość powszechny typ urody.

– A ten! Patrz, kto idzie! – zawołał cieśla, szeroko się uśmiechając. – Lubisz się kłócić, ale co do niego chyba się zgodzisz. Mamy tu Amerykanina! Joe! – zwrócił się do chłopca. – Kiedy znów zdobędziesz mistrzostwo świata?

– Joe! – krzyknął mechanik. – Jak się dziś miewa Brown Bomber?

Idący samotnie na samym końcu grupy ciemnoskóry niebieskooki sześciolatek zerknął z nieśmiałym uśmiechem na mężczyzn, którzy go codziennie zaczepiali, po



czym skinął im grzecznie głową i pozdrowił ich po niemiecku – jedynym języku, który znał.

Zakonnice nazwały go, nie wiedzieć czemu, Karl Heinz, lecz cieśla dał mu imię, które do niego przylgnęło: imię jedynego czarnego mężczyzny, który kiedykolwiek zrobił wrażenie na mieszkańcach wioski: byłego mistrza świata wagi ciężkiej w boksie, Joe Louisa.

– Joe! – zawołał jeszcze raz cieśla. – Rozchmurz się! Błyśnij no tymi białymi zębami, Joe.

Chłopiec posłusznie zrobił, o co został poproszony.

Cieśla poklepał mechanika po ramieniu.

– Tak jakby on też nie był Niemcem! Może to jedyny sposób, żebyśmy znów zdobyli mistrzostwo świata.

Joe skrzył za rogiem i zniknął im z oczu, poganiany przez zamykającą pochód zakonnice. Spędzał z nią dużo czasu, bo bez względu na to, jakie zajmował początkowo miejsce, po jakimś czasie zawsze lądował na samym końcu.

– Ale z ciebie marzyciel, Joe – powiedziała. – Wszyscy twoi rodacy są takimi marzycielami?

– Przepraszam, siostró – odparł Joe. – Rozmyślałem.

– Marzyłeś.

– Czy ja jestem synem amerykańskiego żołnierza, siostró?

– Od kogo to usłyszałeś?

– Od Petera. Powiedział, że moja matka była Niemką, a ojciec amerykańskim żołnierzem, który wyjechał. I że matka mnie u was zostawiła, a potem też wyjechała. – W głosie chłopca nie było żalu, wyłącznie zdumienie.

Peter był najstarszym chłopcem w sierocińcu, zgorzkniałym czternastoletnim „młodym starym”, pamiętającym swoich niemieckich rodziców, rodzeństwo, dom i wojnę, a także wszelkiego rodzaju potrawy, których Joe nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Peter wydawał mu się supermenem, kimś, kto wiele razy odwiedził niebo i piekło i wiedział dokładnie, dlaczego są tu, gdzie są, jak tu trafili i gdzie mogliby się znaleźć.

– Nie powinieneś sobie tym zaprzętać głowy, Joe – powiedziała zakonnica. – Nikt nie wie, kim byli twoi rodzice. Ale musieli być bardzo dobrymi ludźmi, bo ty też jesteś bardzo dobry.

– Kto to jest Amerykanin? – zapytał Joe.

– To osoba z innego kraju.

– Niedaleko stąd?

– Niektórzy z nich są teraz blisko, ale na stałe mieszkają daleko, daleko stąd... za wielką wodą.

– Taką jak rzeka?

– O wiele większą niż rzeka, Joe. Większą, niż kiedykolwiek widziałeś. Nie zobaczyłbyś nawet drugiego brzegu. Musiałbyś wsiąść na statek, płynąć wiele dni i nocy, i nadal nie widziałbyś drugiego brzegu. Pokażę ci kiedyś na mapie. Ale nie przejmuj się tym, co mówi Peter. On zmyśla różne rzeczy. Tak naprawdę nic o tobie nie wie. A teraz biegnij do reszty.

Joe przyspieszył, dołączył do reszty i przez kilka minut maszerował równym zdecydowanym krokiem. Lecz po jakimś czasie znów zaczął się ociągać. W małej główce kłębiły się upiorne słowa: żołnierz... Niemiec... Amerykanin... twoi rodacy... mistrz... Brown Bomber... za wodą większą, niż kiedykolwiek widziałeś.

- Czy Amerykanie są do mnie podobni, siostrze? – zapytał. – Czy są brązowi?
- Jedni są, inni nie, Joe.
- Czy dużo jest ludzi podobnych do mnie?
- Tak. Bardzo dużo.
- Dlaczego ich dotąd nie widziałem?
- Żaden nie trafił do naszej wioski. Mieszkają u siebie.
- Chcę tam pojechać.
- Nie jesteś tu szczęśliwy, Joe?
- Jestem. Ale Peter mówi, że tu nie należę. Że nie jestem Niemcem i nigdy nim nie będę.
- Ach, ten Peter! Nie zwracaj na niego uwagi.
- Dlaczego ludzie uśmiechają się, kiedy mnie widzą? Dlaczego chcą, żebym tańczył i śpiewał, i śmieją się, kiedy to robię?
- Joe, Joe! Popatrz na to drzewo – odwróciła jego uwagę zakonnica. – Widzisz? Tego małego wróbelka ze złamaną nóżką? Och, jaki on biedny i dzielny. Całkiem nieźle sobie radzi. Widzisz go, Joe? Hop, hop, hopsa hop.



Pewnego skwarne go letniego dnia, kiedy dzieci przechodziły obok warsztatu cieśli, ten wyszedł i zawołał coś nowego, coś, co przejęło dreszczem i przeraziło chłopca.

- Joe! Hej, Joe! W wiosce jest twój ojciec. Jeszcze go nie widziałeś?
- Nie, proszę pana... nie widziałem – odparł Joe. – Gdzie on jest?
- Ten pan tylko się wygłupia – wtrąciła poirytowanym tonem zakonnica.
- Sam się przekonasz, czy się wygłupiam, Joe – powiedział cieśla. – Kiedy będziesz mijał szkołę, miej oczy otwarte. Obserwuj uważnie wzgórze i las. Sam się przekonasz.
- Ciekawe, gdzie jest dzisiaj nasz mały przyjaciel wróbelek – zaszczębiotała zakonnica. – Mam nadzieję, że nóżka mu się zagoiła. A ty, Joe?

– Tak, też mam taką nadzieję, siostrze.

Kiedy zbliżali się do szkoły, trąkotała o wróbelku, chmurach i kwiatkach i Joe przestał jej w końcu odpowiadać.

Las za szkołą wydawał się nieruchomy i pusty.

I nagle Joe zobaczył, jak spomiędzy drzew wychodzi obnażony do pasa barczysty brązowy mężczyzna z pistoletem w ręce. Napił się z manierki, otarł usta wierzchem dłoni, przyjrzał się światu z szelmowskim uśmiechem, po czym zniknął z powrotem w leśnej głuszy.

- Siostrze! – szepnął Joe. – To mój ojciec... widziałem swojego tatę!
- Nie, Joe... to nieprawda.
- Stał tam wyżej, w lesie. Widziałem. Chcę tam iść, siostrze.
- To nie jest twój ojciec, Joe. On cię nie zna. Nie chce cię widzieć.

– To jeden z moich rodaków, siostrzo!  
– Nie możesz tam pójść i nie możesz tu tak stać. – Zakonnica pociągnęła go za rękę. – Joe! Teraz jesteś niegrzeczny.

Chłopiec spełnił w odrętwieniu jej polecenie. Nie odezwał się już więcej, kiedy wracali do sierocińca, inną drogą, daleko od szkoły. Nikt inny nie spostrzegł jego wspaniałego ojca, nikt nie wierzył, że Joe go zobaczył.

Dopiero po wieczornym pacierzu wybuchnął płaczem.

O dziesiątej wieczorem młoda zakonnica odkryła, że nie ma go w łóżku.



Pod obwiązaną szmatami wielką siatką przycupnęło w lesie czarne lśniące działo z lufą wycelowaną w nocne niebo. Ciężarówka i reszta baterii były ukryte wyżej, na zboczu.

Trzęsąc się z zimna w krzakach, Joe obserwował niewyraźne sylwetki żołnierzy, którzy okopywali się na pozycjach. Nie rozumiał słów, które do niego dobiegały.

– Po co mamy tu kopać, sierżancie, skoro rano idziemy gdzie indziej? I w końcu to tylko ćwiczenia. Powinniśmy chyba zachować siły i najwyżej zaznaczyć szpadlem, gdzie trzeba by kopać, gdyby to miało sens.

– Do twojej wiadomości, chłopcze, rano to może mieć sens – odparł sierżant. – Masz dziesięć minut, żeby dokopać się do Chińczyków i przytargać mi stamtąd ich warkoczyk. Jasne?

Biorąc się pod boki i odchylając do tyłu potężne ramiona, sierżant stanął w księżycowej poświacie. Wyglądał jak cesarz. Joe zorientował się, że to ten sam mężczyzna, którego podziwiał po południu. Sierżant z satysfakcją słuchał przez chwilę odgłosów kopania, po czym ku przerażeniu chłopca ruszył w stronę jego kryjówki.

Joe nawet nie drgnął, dopóki wielki but nie trafił go w bok.

– Au! – jęknął.

– A ty coś za jeden? – Sierżant podniósł go z ziemi i postawił energicznie na nogi. – Do licha, chłopcze, co ty tu robisz? Zmykaj! Wracaj do domu! To nie miejsce zabaw dla dzieci. – Oświetlił latarką twarz Joego. – Niech mnie kule – mruknął. – Skąd się tu wziąłeś? – Odsunął go na długość ramienia i potrząsnął nim lekko niczym szmacianą lalką. – Jak się tu dostałeś, chłopcze? Przyplynałeś?

Joe wyjąkał po niemiecku, że szuka ojca.

– Daj spokój... Jak się tu dostałeś? Co ty robisz? Gdzie jest twoja mama?

– Co pan tam ma, sierżancie? – odezwał się głos w ciemności.

– Jeszcze nie wiem, jak to nazwać – odparł sierżant. – Gada jak szkop i jest ubrany jak szkop, ale tylko na niego popatrz.

Wkrótce kilkunastu mężczyzn otoczyło kręgiem Joego, przemawiając do niego najpierw głośno, a potem cicho, jakby ich zdaniem dogadanie się z nim było tylko kwestią odpowiedniego tonu.



Za każdym razem, gdy Joe usiłował wytłumaczyć cel swojej misji, zachwyceni wybuchali śmiechem.

– Jak on się nauczył niemieckiego? No powiedz.  
– Gdzie twój tato, mały?  
– Gdzie twoja mama, chłopcze?  
– Szprechen zi dojcz, chłopcze? No popatrz. Kiwa głową. Zasuwa po niemiecku jak stary.

– Widzę, że ty też nim szwargoczesz, człowieku. Bardzo dobrze. Zapytaj go o coś jeszcze.

– Idźcie po porucznika – zarządził sierżant. – Porozmawia z małym i zrozumie, o co mu chodzi. Patrzcie, jak się trzęsie. Jest śmiertelnie przerażony. Chodź do mnie, mały. Nic się nie bój. – Objął chłopca mocarnymi ramionami. – Nie denerwuj się... wszystko będzie w pooo-rządalu! Widzisz, co tu mam? Do licha, ten chłopak chyba nigdy w życiu nie jadł czekolady. Proszę, spróbuj. Nic ci nie będzie.

Bezpieczny w forticy ramion sierżanta i otoczony zewsząd lśnjącymi oczami, Joe wbił zęby w tabliczkę czekolady. Różowe wnętrze jego ust, a chwilę później całą duszę zalała ciepła, gęsta fala przyjemności. Wyrażnie się rozpromienił.

– Uśmiechnął się!

– Patrzcie, jaki zadowolony!

– Niech mnie kule! Wygląda, jakby wstał do nieba! Serio!

– Co się tyczy dipisów – odezwał się sierżant, obejmując mocniej chłopca – to ten tutaj jest najbardziej przesiedloną małą osobą, jaką w życiu widziałem. Przeflanconą z góry na dół, z zewnątrz do wewnątrz i z lewej na prawą.

– Hej, chłopcze. Masz tu więcej czekolady – powiedział jeden z żołnierzy.

– Nie dawaj mu tyle – skarcił go sierżant. – Chcesz, żeby się pochorował?

– Nie, sierżancie, w życiu. Nie chcę, żeby się pochorował. Skądże znowu.

– Co się tutaj dzieje? – Do grupy podszedł porucznik, elegancki niewysoki Murzyn z latarką, której światło tańczyło przed nim po ziemi.

– Mamy małego chłopca, panie poruczniku – odparł sierżant. – Przybłąkał się do baterii. Musiał się przeczołgać między wartownikami.

– No to odesłajcie go do domu, sierżancie.

– Tak jest, panie poruczniku. Taki miałem zamiar. – Sierżant odchrząknął. – Ale to nie jest zwyczajny mały chłopiec, panie poruczniku. – Rozchylił ramiona, żeby światło mogło paść na twarz Joego.

Porucznik roześmiał się z niedowierzaniem i ukląkł przy chłopcu.

– Jak się tu dostałeś? – zapytał.

– Mówi tylko po niemiecku, panie poruczniku – poinformował go sierżant.

– Gdzie jest twój dom? – zapytał porucznik po niemiecku.

– Za wodą większą, niż pan kiedykolwiek widział.

– Skąd pochodzisz?

– Stworzył mnie Bóg.

– Ten chłopak będzie adwokatem, jak dorośnie – powiedział porucznik po angielsku. – A teraz słuchaj – zwrócił się do Joego. – Jak się nazywasz i gdzie są twoi bliscy?

– Nazywam się Joe Louis i wy jesteście moimi bliskimi – odparł chłopiec. – Uciekłem z sierocińca, bo należą do was.

Porucznik pokręcił głową, wyprostował się i przetłumaczył to, co usłyszał.

W lesie rozległy się głośnie śmiechy.

– Joe Louis! Myślałem, że to kawał chłopca!

– Uważaj tylko, żebyś nie oberwał lewym... będzie po tobie!

– Jeśli nazywa się Joe, to rzeczywiście znalazł tu rodzinę. Ma nas!

– Przymknijcie się! – rozkazał nagle sierżant. – Wszyscy się przymknijcie. To wcale nie jest śmieszne! Nie ma w tym nic śmiesznego! Chłopak jest sam jak palec na tym bożym świecie. To nie jest śmieszne.

– Nie, to wcale nie jest śmieszne – odezwał się cichy głos, przerywając milczenie.

– Weźcie lepiej jeepa i odwieziemy go do wioski, sierżancie – nakazał porucznik. – Wy, kapralu Jackson, przejmiecie dowodzenie.

– Powiedźcie im, że Joe to dobry chłopak – rzucił Jackson.

– Pojedziesz teraz ze mną i sierżantem, Joe – powiedział porucznik po niemiecku. – Odwieziemy cię do domu.

Joe wbił palce w przedramiona sierżanta.

– Tato! Nie... tato! Chcę zostać z tobą.

– Słuchaj, synku, nie jestem twoim tatą – odparł zmieszany sierżant. – Nie jestem twoim tatą.

– Tato!

– Ale się do pana przykleił, nie, sierżancie? – wtrącił się jeden z żołnierzy. – Chyba go pan od siebie nie oderwie. Znalazł pan sobie tutaj syna, sierżancie. A on znalazł tatę.

Trzymając Joego na rękach, sierżant podszedł do jeepa.

– No już, mały – powiedział. – Puść mnie, mały Joe, żebym mógł prowadzić. Nie mogę prowadzić, kiedy się mnie tak uczepliłeś. Siądź na kolanach porucznika, tu obok.



Wszyscy stanęli wokół jeepa i obserwowali z ponurymi minami, jak sierżant próbuje przekonać chłopca, by go puścił.

– Nie chcę się z tobą szarpać, Joe. No naprawdę, uspokój się. Puść mnie, żebym mógł prowadzić. Widzisz, nie mogę kręcić kierownicą i w ogóle, kiedy tak na mnie wiesz.

– Tato!

– Chodź do mnie na kolana, Joe – namawiał po niemiecku porucznik.

– Tato!

– Joe! Joe! Popatrz! – zawołał jeden z żołnierzy. – Czekolada! Chcesz więcej czekolady, Joe? Widzisz? Cała tabliczka, Joe, cała twoja. Puść tylko sierżanta i siądź porucznikowi na kolanach.

Joe objął sierżanta jeszcze mocniej.

– Nie chowaj tej czekolady do kieszeni, człowieku. I tak mu ją daj – odezwał się inny żołnierz. – Niech ktoś weźmie z ciężarówki cały karton czekolady i załaduje na tylne siedzenie, dla małego. Dajcie chłopakowi tyle, żeby starczyło mu na dwadzieścia lat.

– Patrz, Joe! – zawołał kolejny. – Widziałeś kiedyś zegarek na rękę? Popatrz tylko na ten zegarek. Widzisz, jak ładny, mały? Siądź u porucznika na kolanach, to dam ci posłuchać, jak tyka. Tik-tak, tik-tak, Joe. Chcesz posłuchać?

Chłopiec nie zmienił pozycji.

Żołnierz dał mu zegarek.

– Masz, Joe, weź go sobie. Jest twój – powiedział i szybko odszedł.

– Czyś ty oszalał, człowieku? – krzyknął ktoś za nim. – Dałeś za ten zegarek pięćdziesiąt dolców. Jaki pożytek będzie miał mały chłopiec z zegarka za pięćdziesiąt dolców?

– Nie, nie oszalałem. A ty?

– Nie, nie oszalałem. Chyba nikt z nas nie oszalał. Chcesz nóż, Joe? Ale musisz obiecać, że będziesz się z nim ostrożnie obchodził. Tnij zawsze od siebie. Słyszysz? Panie poruczniku, zanim pan go zostawi, proszę mu przypomnieć, żeby ciął zawsze od siebie.

– Nie chcę zostawać. Chcę być z tatą – powiedział płacząco Joe.

– Żołnierze nie mogą zabierać ze sobą małych chłopców, Joe – powiedział po niemiecku porucznik. – A my wyjeżdżamy stąd z samego rana.

– Wróćcie po mnie? – zapytał Joe.

– Wrócimy, jeśli będziemy mogli, Joe. Żołnierze nigdy nie wiedzą, gdzie będą następnego dnia. Wrócimy do ciebie z wizytą, jeśli tylko będziemy mogli.

– Możemy dać naszemu Joemu karton czekolady, panie poruczniku? – zapytał żołnierz, taszcząc całe pudło.

– Mnie o to nie pytaj. Ja nic nie wiem. Nie widziałem żadnego kartonu czekolady i nic o nim nie słyszałem.

– Tak jest, panie poruczniku. – Żołnierz ustawił pudło na tylnym siedzeniu jeepa.

– On mnie nie puści – oświadczył z rezygnacją sierżant. – Niech pan prowadzi, poruczniku, a ja i Joe siądziemy obok.

Porucznik i sierżant zamienili się miejscami i jeep ruszył.

– Do widzenia, Joe!

– Bądź grzecznym chłopcem, Joe!

– I nie zjedz od razu całej czekolady, słyszysz?!

– Nie płacz, Joe. Uśmiechnij się, proszę.

– Szerzej, chłopcze... no i o to chodzi!



– Hej, Joe! Obudź się, Joe! – Głos Petera, najstarszego chłopca w sierocińcu, odbijał się echem od zawilgoconych kamiennych ścian.

Joe usiadł zaspany na posłaniu. Inne sieroty otoczyły zwartym kordonem łóżko, żeby przyjrzeć się jemu i leżącym przy poduszce skarbowi.

– Skąd masz tę czapkę, Joe? I ten zegarek, i nóż? – zapytał Peter. – Co jest w tym kartonie pod łóżkiem?

Joe dotknął palcami głowy i zorientował się, że ma na niej żołnierską wełnianą czapkę.

– Od taty – wymamrotał.

– Od taty? – powtórzył, śmiejąc się, Peter.

– Tak. Wczoraj w nocy poszedłem do taty.

– Czy on mówi po niemiecku, Joe? – zapytała z przejęciem mała dziewczynka.

– Nie, ale jego przyjaciel zna niemiecki – powiedział Joe.

– On wcale nie widział się z ojcem – rzucił Peter. – Twój ojciec jest daleko, daleko stąd i nigdy nie wróci. Pewnie nie wie nawet, że żyjesz.

– Jak wyglądał? – dopytywała się dziewczynka.

Joe rozejrzał się uważnie po pokoju.

– Tata jest wysoki aż do sufitu – odezwał się w końcu. – I szerszy od tych drzwi. I taki brązowy jak to! – dodał, wyjmując spod poduszki tabliczkę czekolady i wyciągając ją w stronę dzieci. – Proszę, poczęstujcie się. Mam o wiele więcej.

– Na pewno taki nie jest – stwierdził Peter. – Kłamiesz.

– Mój tato ma pistolet duży jak to łóżko. Prawie – podjął uszczęśliwiony Joe. – I armatę wielką jak ten dom. I są z nim setki podobnych do niego.

– Ktoś zrobił sobie z ciebie jaja, Joe – powiedział Peter. – To nie był twój ojciec. Skąd wiesz, że cię nie nabrał?

– Bo płakał, kiedy mnie zostawiał. I obiecał, że jak tylko będzie mógł, zabierze mnie do domu za wielką wodę. – Joe uśmiechnął się z wyższością. – Nie taką jak rzeka, Peter... za wodę większą, niż kiedykolwiek widziałeś. Obiecał mi to i wtedy go puściłem.